

**MiO,
MÓJ MIO**

Tytuł oryginału szwedzkiego
Mio, min Mio
Rabén & Sjögren Bokförlag AB, Stockholm, Sweden



Text © The Astrid Lindgren Company AB/Astrid Lindgren 1954
Illustrations © Johan Egerkrans, 2020
All foreign rights are handled by The Astrid Lindgren Company AB,
Sweden, info@astridlindgren.se
For information about Astrid Lindgren's books, see
www.astridlindgren.com

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 1968

First published in 1954 by Rabén & Sjögren, Sweden

ASTRID LINDGREN

MiO, MÓJ MIO



PRZEŁOŻYŁA
MARIA OLSZAŃSKA
ILUSTROWAŁ
JOHAN EGERKRANS

Nasza Księgarnia

ZAGINIONY CHŁOPIEC

Czy ktoś słuchał radia piętnastego października w zeszłym roku? Czy ktoś słyszał komunikat o zaginionym chłopcu? W radiu mówili tak:

„Policja poszukuje dziewięcioletniego Bo Wilhelma Olssona, który przedwczoraj wieczorem, o godzinie osiemnastej, wyszedł z domu przy ulicy Środkowej 13 w Sztokholmie i dotychczas nie powrócił. Bo Wilhelm Olsson ma włosy jasne, oczy niebieskie, ubrany był w krótkie brązowe spodnie, szary sweter robiony na drutach i małą czerwoną czapkę. Informacje o zaginionym należy zgłaszać na najbliższym posterunku policji”.

No więc tak mówili. Ale żadne informacje o Bo Wilhelmie Olssonie nie wpłynęły. Znikł. I nikt się nigdy nie dowiedział, co się z nim stało. Nikt nic nie wie. Prócz mnie. Ponieważ ja jestem Bo Wilhelm Olsson.

Bardzo bym chciał wszystko to komuś opowiedzieć, gdyby było można, przynajmniej Bence. Bawiłem się zwykle z Benką. On też mieszka na ulicy Środkowej. Właściwie ma na imię Bengt, ale wszyscy nazywają go Benka. Na mnie też oczywiście nikt nie mówi Bo Wilhelm Olsson. Tylko mówią Bosse.

To znaczy, mówili Bosse. Teraz, kiedy zaginałem, nie mogą oczywiście nijak do mnie mówić. Tylko ciotka Edla i wuj Sixten mówili do mnie Bo Wilhelm. Wuj Sixten to nawet i tak nie mówił. On się w ogóle do mnie nigdy nie odzywał.

Byłem na wychowaniu u cioci Edli i wuja Sixtena. Wzięli mnie, jak miałem rok. A przedtem byłem w domu dziecka. Stamtąd mnie ciotka Edla przyniosła. Właściwie chciała wziąć dziewczynkę, ale żadnej dziewczynki do wzięcia nie było. Więc wzięła mnie. Chociaż wuj Sixten i ciocia Edla nie lubili chłopców. A zwłaszcza dziewięcioletnich chłopców. Uważali, że za dużo robię w domu hałasu, że za dużo błota nanoszę, kiedy wracam ze skwerku Tegnera, gdzie chodziłem się bawić, że rozrzucam wszędzie ubranie, że za głośno się śmieję i mówię. Ciocia Edla ciągle powtarzała, że nieszczęśliwy to dzień, kiedy przybyłem do ich domu. Wuj Sixten nic nie mówił. To jest, owszem, czasem mówił: „Ty, jak ci tam, wynoś się, żebyś nie musiał na ciebie patrzeć!”

Najczęściej przesiadywałem u Benki. Jego tatuś ciągle z nim rozmawiał i pomagał mu budować modele samolotów, i znaczył kreską na drzwiach kuchni wzrost Benki, żeby wiedzieć, ile on urósł, i w ogóle. Benka mógł się śmiać i gadać, ile tylko chciał, i rozrzucać ubranie. Jego tatuś i tak go lubił. I wszystkim chłopcom wolno było przychodzić do Benki i bawić się z nim. A do mnie nikt nie mógł przyjść, bo ciotka Edla mówiła, że tu żadnych harców smarkaczy nie będzie. Wuj Sixten był tego samego zdania. „Dość mamy jednego łobuza” – mówił.

Czasem wieczorem, jak się już położyłem, pragnąłem, żeby tatuś Benki mógł być i moim tatusiem. Wtedy też zastanawiałem się, kto jest moim prawdziwym ojcem i dlaczego nie mogę mieszkać u niego

i u mojej prawdziwej mamy, zamiast w domu dziecka czy u ciotki Edli i wuja Sixtena. Ciotka Edla mi powiedziała, że mama umarła, kiedy ja się urodziłem, a kto był moim ojcem, tego nikt nie wie. „Ale można wymiarkować, co to był za łotr” – dodała. Nienawidziłem ciotki Edli za to, że tak się wyrażała o moim ojcu. Może to i prawda, że mama umarła, kiedy ja się urodziłem. Ale wiedziałem, że mój ojciec wcale nie był łotrem. Czasem, leżąc, płakałem z tęsknoty za nim.

Jedna tylko osoba była dla mnie bardzo miła – pani Lundin z owocarni. Czasem dawała mi coś dobrego.

Teraz, po wszystkim, myślę nieraz, kim właściwie była pani Lundin. Bo to się u niej zaczęło pewnego dnia w październiku, w zeszłym roku.

Tego dnia ciotka Edla parę razy mi powiedziała, że moje zjawienie się w ich domu było prawdziwym nieszczęściem. Wieczorem,



tuż przed szóstą, kazała mi pobiec na Królewską do piekarni i kupić sucharków, które bardzo lubiła. Włożyłem moją czerwoną czapkę i pobiegłem.

Kiedy mijalem owocarnię, pani Lundin stała w drzwiach. Wzięła mnie pod brodę i przyglądała mi się tak dziwnie i bardzo, bardzo długo. Potem spytała:

– Chcesz jabłko?

– Tak, dziękuję!

Dała mi śliczne, czerwone jabłko, wyglądające na bardzo dobre, i powiedziała:

– A wrzuciłbyś mi kartę do skrzynki?

– Oczywiście, mogę wrzucić.

Napisała na pocztówce kilka zdań i dała mi ją.

– Żegnaj, Bo Wilhelmie Olssonie – powiedziała pani Lundin. – Żegnaj, bądź zdrow, Bo Wilhelmie Olssonie.

Dziwnie to jakoś zabrzmiało. Nigdy mnie tak nie nazywała, tylko Bosse.

Pobiegłem do skrzynki pocztowej o kilka kamienic dalej. Właśnie miałem wsunąć kartę do skrzynki, gdy zobaczyłem, że coś na niej lśni i błyszczy jak ogień. To litery wypisane przez panią Lundin płonęły jak pismo ogniste. Nie mogłem się powstrzymać od przeczytania ich. Na karcie widniały te oto słowa:

Do Króla Krainy Dalekiej

Ten, którego szukateś tak długo, jest w drodze. Podąża poprzez dzień i noc, a w ręce trzyma znak – szczerozłote jabłko.

Nie zrozumiałem ani słowa, ale dziwny dreszcz przeniknął mnie całego. Pospiesznie wetknąłem kartę do skrzynki.

Któż to jest ten, który podąża poprzez dzień i noc? I kto trzyma w ręce szczerozłote jabłko?

Zacząłem przyglądać się jabłku, które dostałem od pani Lundin. To jabłko było złote. Powiadam wam: było ze złota. To ja miałem w ręce szczerozłote jabłko.

Płakać mi się chciało. Nie żebym się rozplakał, ale prawie. Czulem się taki samotny. Poszedłem na skwerek Tegnera, usiadłem na ławce. Nikogo tam nie było. Wszyscy poszli do domu na obiad. W parku było mgliście i trochę padało. Ale we wszystkich domach naokoło świeciło się w oknach. Mogłem stąd dojrzeć, że u Benki też się świeci. Siedział sobie teraz w domu razem z mamą i tatą i zajadał omlet z groszkiem. Wydało mi się, że wszędzie, gdzie się świeci, siedzą dzieci razem ze swymi rodzicami. Tylko ja byłem sam na dworze w ciemności.

Sam, ze szczerozłotym jabłkiem, z którym nie wiedziałem, co mam robić.

Ostrożnie położyłem je obok siebie na ławce i zacząłem się zastanawiać. W pobliżu stała latarnia i blask jej padał na mnie i na jabłko. Padał też na coś jeszcze, co leżało na ziemi. Była to zwyczajna butelka od piwa, oczywiście pusta. Ktoś wetknął w jej szyjkę drewnienko. Pewnie któryś z tych malców, co zwykle bawili się na skwerku przed południem. Podniosłem butelkę i spojrzałem na etykietę. „Browary Sztokholmskie. Spółka Akcyjna. Gatunek II” – było na niej wypisane. Nagle zobaczyłem, że w środku, w butelce, coś się rusza.



Raz wypożyczyłem w bibliotece „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. Tam przeczytałem o duchu zamkniętym w butelce. Ale to się działo w Arabii przed tysiącem lat i na pewno nie była to zwykła butelka po piwie. Chyba bardzo rzadko zdarzają się duchy w butelce pilznera z „Browarów Sztokholmskich”. No, ale raz się jednak zdarzył. Bo to, co siedziało w butelce, to był duch, słowo daję. Ale najwyraźniej chciał wyjść. Pokazywał na drewniany kołek tkwiący w szyjce i spoglądał na mnie prosząco. Nie byłem przecież wcale przyzwyczajony do duchów i właściwie bałem się wyjąć ten kołek. W końcu jednak wyjąłem, a duch wyskoczył z flaszki z ogromnym hukiem i zaczął rosnać, robić się coraz większy, taki duży, że w końcu wyższy był niż wszystkie domy koło skwerku. Z duchami to tak jest, mogą się skurczyć i zrobić takie malutkie, że zmieszczą się w butelce, a za chwileczkę mogą tak urosnąć, że są większe niż dom.

Trudno uwierzyć, jak się przestraszyłem. Trząśłem się cały. A duch do mnie mówił. Jego głos to był dopiero huk; ciotka Edla i wuj Sixten powinni by to usłyszeć, pomyślałem sobie, oni, co zawsze uważają, że ja za głośno mówię.

– Dziecko – powiedział do mnie duch. – Wyratowałeś mnie, wybawiłeś z więzienia. Czego chcesz w nagrodę?

Jak mógłbym żądać nagrody za wyciągnięcie takiego małego kołeczka! Duch mi opowiedział, że przybył do Sztokholmu wczoraj; wlał do butelki, żeby się przespać. Zdaniem duchów, butelki są doskonałym miejscem do spania. Ale kiedy spał, ktoś zamknął mu wyjście. I gdybym go nie wyratował, może musiałby siedzieć w tej butelce jeszcze tysiąc lat, póki by drewniana zatyczka nie zbutwiała.

– A to bardzo by było nie po myśli mego króla i pana – powiedział duch sam do siebie.

Zebrałem się na odwagę i spytałem:

– Duchu, skąd przybywasz?

Przez chwilę było zupełnie cicho. A potem duch wyjaśnił:

– Z Krainy Dalekiej.

Powiedział to tak głośno, że w głowie mi zahuczało i zagrzmiało, a coś takiego było w jego głosie, że zatęskniłem do tego kraju. Poczuliem, że nie będę mógł żyć, jeżeli się tam nie dostanę. Wyciągnąłem rękę do ducha i zawołałem:

– Weź mnie z sobą! O, weź mnie z sobą do Krainy Dalekiej! Tam jest ktoś, kto na mnie czeka.

Duch potrząsnął głową. Wtedy wyciągnąłem rękę ze złotym jabłkiem, a duch wydał głośny okrzyk:

– Trzymasz w ręce znak! Jesteś tym, po którego przybyłem. Jesteś tym, którego król szuka od tak dawna!

Pochylił się, wziął mnie w ramiona – zagrzmiało i zahuczało wokół nas, gdy unieśliśmy się w przestworza. Daleko pod nami został skwer Tegnera, ciemny park i wszystkie domy; w oknach świeciło się, a wewnątrz dzieci jadły obiad z tatusiami i mamusiami, podczas gdy ja, Bo Wilhelm Olsson, szybowałem wśród gwiazd.

Byliśmy znacznie wyżej niż chmury, pędziliśmy szybciej niż błyskawica, z grzotem potężniejszym niż burza. Wokół nas migotały słońca, gwiazdy i księżyce. Czasem było zupełnie czarno jak w nocy, czasem tak olśniewająco widno i białe, że musiałem mrużyć oczy.

– Podąża poprzez dzień i noc – szeptałem przejęty do siebie. Tak było napisane na pocztówce.



Wtem duch wyciągnął rękę i pokazał coś zielonego, co widniało bardzo daleko w przejrzystej błękitnej wodzie i w blasku słońca.

– Tam widać Krainę Daleką – powiedział duch. I zaczęliśmy opuszczać się do tego zielonego.

To była wyspa pływająca po morzu. W powietrzu unosił się zapach róż i lilii i jakaś dziwna muzyka, najpiękniejsza w świecie muzyka.

Nad brzegiem morza stał wielki biały pałac i tam właśnie wylądowaliśmy.

Ktoś szedł ku nam wzdłuż brzegu. To był mój ojciec, król. Poznałem go od razu, gdy tylko go zobaczyłem. Wiedziałem, że to mój ojciec. Otworzył ramiona, skoczyłem prosto w jego objęcia. Długo mnie tulił. Nic nie mówiliśmy. Ścisnąłem go za szyję ile sił.

O, jak pragnąłem, żeby ciotka Edla mogła zobaczyć mego ojca króla, jaki on piękny i jak jego ubranie lśni od złota i diamentów. Z twarzy podobny był do ojca Benki, tylko ładniejszy. Szkoda, że ciotka Edla nie mogła go zobaczyć. Przekonałaby się, że mój ojciec nie jest łotrem.

Co do tego, że moja mama zmarła, jak ja się urodziłem, ciotka Edla miała rację. A ci głupcy z domu dziecka nigdy nie pomyśleli, że trzeba zawiadomić króla, mego ojca, gdzie ja jestem. Szukał mnie przez długich dziewięć lat. Jakie to szczęście, że wreszcie się odnalazłem!

Dosyć długo już tu jestem. I całymi dniami jest tak przyjemnie. A król, mój ojciec, przychodzi do mnie co wieczór, budujemy razem modele samolotów i rozmawiamy.

Rosnę i dobrze się tu czuję w Krainie Dalekiej. Mój ojciec król co miesiąc znaczy kreską na drzwiach kuchni, ile urosłem.

